

ADOLF

Był mały, rudy, i do tego wabił się Adolf. Ach, ten jamnik, mały, rudy, z wysuniętym zębem. Adolf. Była jeszcze ona: Gerda, jego pani. I był Werner. Ale on poszedł na wojnę.

Gerda nie zdawała sobie sprawy z tego, że Werner tak długo nie wraca. Po prostu, czekała odruchowo: w domu, nad szyciem, w kolejce po szynkę, w kinie, w rozmowach z sąsiadką, wszędzie. Gerda Blohm często zresztą nie zdawała sobie z czegoś sprawy, może dlatego, że nie była za nic odpowiedzialna. Werner nie zdążył jej nawet zrobić dziecka zanim poszedł na „tę swoją” wojnę i została sama z Adolfem, który naprawdę miał na imię: Witz, ale gdy go Gerda znalazła, wydało jej się, że musi się nazywać Adolf. Wcale zresztą nie uważała tego za najszcześniejsze, żeby pierwszy lepszy jamnik nosił takie imię. Wyglądało jednak na to, że jamnik nie brał jej nic za złe, najważniejsze dla niego było, że miał wreszcie swoją werandę i swój ogródek, czyli Prywatny Wychodek. Nie sądził, aby jakikolwiek inny jamnik mógł sobie pozwolić na coś podobnego, zdaje się zresztą, że w ogóle nic nie sądził. Zachowywał się bardzo poprawnie, nie był hałaśliwy. Czasem tylko wygryzał ze skrzynki pelargonie, nie gardził też oczywiście kradzionymi kotletami. W tajemnicy przed Gerdą lubił raczyć się piwem, którego mała kaluża stała zawsze przed traktiernią na Bahnhofstrasse. Nudziły go poranne pogaduszki Gerdy z sąsiadką, mimo że nigdzie o tej porze nie wychodzili i w niczym nie mogło mu to przeszkodzić.

W przeciwieństwie do Gerdy lubił długie spacerować, o ile popołudnia nie były zbyt upalne.

Innych psów było mało w mieście i Adolf z nudów tropił koty i zdziwiałe króliki, ale nie chciało mu się ich gonić ani tym bardziej zagryzać czy dusić. Raz tylko zdarzyło mu się schwytać wróbla ze złamanym skrzydłem. Nie wiedział, co z nim właściwie zrobić, nie był głodny, i chwilę trzymał w pysku ciepłego i wyrwijącego się ptaka, w końcu zakrztusił się jakimś piórkiem — wróbel wydarł się wrzeszcząc i usiłował podfrunąć jak najwyżej w ucieczce. Adolf ziewnął, wykaszlawszy się i wyparskawszy, obsikał mały krzaczek i podreptał do domu. W skojarzeniach sennych przeżył to ma nowo, lecz w tym śnie zagryzł wróbla i w jakimś światlejszym epizodzie tych skojarzeń przemknęło mu przez głowę, że gdyby umiał się śmiać, to chyba pękłby ze śmiechu, takie to wszystko było zabawne.

I zawarczał, miał to być wyzwolony ludzki śmiech w psie, lecz dostał burę od Gerdy „jak śmiesz warczeć na własną panią” i od tego czasu śmiał się tylko wewnętrznie, jakby szepcząc oczami i nosem, z czasem zapomniał jednak, co to miało oznaczać i nie śmiał się wcale, albo tylko chwiał przecikiem ogona.

W ciągu ostatnich dni i nocy Gerda coraz uważniej wsłuchiwała się w swoją nieodpowiedzialność: w powrót Wenera. Sypiała niespokojnie, a w dzień podchodziła często do furtki i zawracała prędko, jakby w obawie ujrzenia pustej ulicy; nie patrzyła na nic po drodze.

Zajęła się domem i ogrodem, porządkowała strych, zajrzała do sparralizowanej sąsiadki. Ale czasu wciąż starczało na niedokończone wędrówki w stronę furtki.

Popołudnia były chłodne jak każdej jesieni i Adolf dwa razy dziennie przekraczał dziurę w płocie. Nie wybiegał daleko; ot, dwa kroki za miasto. Któregoś dnia ze zdziwieniem stwierdził, że pod miastem rozłożył się obóz żołnierzy w zielonych mundurach. Palili ogniska, prali koszule w rzece, jedli chleb i kielbasę. Niektórzy czyścili broń lub spalili. Twarze mieli zmęczone i brudne, oczy nie tęskniące już za niczym.

Adolf był nieostrożny i podszedł do nich. Byli obojętni, ale kilku nakarmiło go kielbasą. Rechołali ze swego prymitywnego szczęścia, że czasem są na coś potrzebni. Leżeli rozciągnięci na zdeptanej trawie, a Adolf laził wśród nich i węszył, podważał nosem resztki jedzenia omijał z daleka tłące się ogniska.

Na zakończenie podlał jakiś plecak i wrócił do miasta. Gerda wiedziała już, że w pobliżu stacjonują żołnierze powracający z radzieckiego frontu i Adolf nie zastał jej w domu — wróciła dopiero wieczorem, złamana i natchniona, pełna goryczy i nadziei. Poglaskała Adolfa i, choć robiła to niezmiernie rzadko, Adolf nie odczuł tym razem zdziwienia, ułożył się do snu łam, gdzie stał, Gerda weszła do łóżka, zapłakała, zgasila lampę, płakała w ciemności; Adolf okręcił się i zasnął.

Pobiegł za miasto następnego dnia i następnego i robił to jeszcze przez wiele, wiele dni, aż kiedyś nie zastał ich na zwykłym miejscu. Maszerowali na zachód w sprawnych, długich kolumnach, a gdy mijali Adolfa, dwóch skinęło dłonią czy też gwizdnęło, ale Adolf nie ruszył się z miejsca, tylko się uśmiechnął, przypomniał sobie swój śmiech wyzwolony i stał wyszczerzony uprzejmie. Zarechotali, powiedzieli: niewdzięcznik, sukinsyn, i coś jeszcze, wycelowali weń, wciąż w marszu, oddalając się, swe długie karabiny i po chwili Adolf trafiony w kark i w płuca był małym strzępkim cierpienia, skręconym, rudym, czolgającym się. Rudy kałdun, leb i łapy oddzielnie, oczy to rozwarte, to przymknięte, z półotwartego pyska charkot i krew, i ślina. Przeszli, znieczuleni przez obojętność i widmo nowych cierpień, które będą musieli zadać, aby opłacić własną nieprzydatność, a Adolf odczołgał się pod płot, trzepocząc łapkami jak ranna foka i tak zastygł, nieporadny i śmieszny, wpatrzony we wronę na płocie. Tego samego dnia wrócił Werner. Nie miał już ręki, zmęczony, zawszony, tak, że zajmując się nim, Gerda nie myślała o swoim jamniku, nie zdawała sobie sprawy z tego, że go nie ma. W jej życiu było już tak, że nigdy nie była sama, zawsze ktoś kogoś mógł zastąpić, co najwyżej czekała nie odchodząc od furtki, zawracając raz — dwa, raz — dwa — trzy... Urodziła Wernerowi syna i gdy mały zaczął chodzić do szkoły i przez część dnia nie było go w domu, często pieściła w myślach jego imię, zastanawiając się, ile ma w sobie melodii, miękkości, i siły. Kołysała je w sobie do znużenia, słodkiego znużenia, gdy wybije godzina druga i ze szkoły wróci... Adolf, Adolf, Adolf.

ANKA KAWECKA